

# Inaczej niż Pilch

Wiktor Osiatyński  
**Rehab**  
Wydawnictwo Iskry  
Warszawa 2003  
**Litacja**  
Wydawnictwo Iskry  
Warszawa 2012

I

2003 rok.

Ciągle czytamy pijacką księgę Jerzego Pilcha Pod mocnym aniołem. Niektórzy i niektóre – o wiele za mocno. Czytamy, bawimy się do rytmu jej ekstatycznych fraz, naśladujemy tu i ówdzie, raczmy eseistycznym komentarzem.

Umyka nam więc powieść, która zaczyna się od skromnego zdania: „We wtorek o wpół do piątej po południu wysiadł z autobusu na dworcu w nieznanym mu małym miasteczku”.

Gdy my jesteśmy zajęci adorowaniem mistrza zakrapianej frazy, ktoś kontynuuje swoją cichą narrację: „Miał go spotkać kierowca z tabliczką «Farma» w ręku. Trudno mu dziś, po latach, przypomnieć sobie, co wtedy czuł. Chyba pustkę. Może niepokój”.

O nie, wtedy z całą pewnością nie docenilibyśmy tekstu, który skrupulatnie opiera się uwodzicielskiej mocy literatury. Myśmy wtedy, podekscytowani legendarnym „zwrotem lingwistycznym”, widzieli w Pilchu mistrza językowej ceremonii. Kiwalimy ze zrozumieniem głowami, gdy jego bohater wyznawał: „Każda rozmowa telefoniczna obracała mi się w powieściowy dialog, każde

pozdrowienie w poetyczny aforyzm, każde pytanie o godzinę w teatralną kwestię. Mój złakniony wyższości, a może nawet nieśmiertelności, język rządził mną”.

Jak więc mogliśmy zanotować obecność w świecie literackim kogoś, kto tak pisał: „Przez chwilę chyba nawet ucieszył się, że nikt nie czekał. Może pomyślał, że będzie mógł z czystym sumieniem wrócić do Nowego Jorku i nie zawracać sobie więcej głowy”.

Paradoksalne w tym wszystkim jest to, że kiedy przeglądam swoje młodzieńcze notatki na temat kolejnych książek Pilcha, znajduję w nich przede wszystkim uwagi na temat teorii języka i literatury. Alkohol właściwie wyparował. Głównym problemem jest tu spektakularne uzależnienie od ironicznej retoryki. Naczelna teza zaś głosi, że literatura to kłamstwo, nurzanie się w błędzie. Reszta to tyle, co nic, zaledwie anegdota. Reszta, czyli alkoholizm, to chwyt, za pomocą którego destrukcyjna siła literatury została dobitnie uwiarygodniona. Mówiąc skrótem, ta pijacka księga była przede wszystkim figlarnym udokumentowaniem silnego oddziaływania postmodernizmu i dekonstrukcjonizmu. Całkiem trzeźwego – w sensie ścisłym.

I może tak zakończyłaby się moja przygoda z twórczością Pilcha rozumianą jako studium literackiego nałogu, z którego nie można wyjść, przygoda trwająca wiele lat, gdyby w 2012 roku nie podsunęto mi Rehaba Wiktora Osiatyńskiego, książki opublikowanej dziewięć lat temu. Jej bohater, W., intelektualista, dziennikarz, profesor, bywalec świata postanawia udać się na „Farmę”, żeby w zaciszu, pod opieką fachowców, w towarzystwie innych „pacjentów”, zacząć prawdziwą walkę z własnym alkoholizmem. Przyznaję, wciąż gnąłem się, i to bardzo. Po skończeniu lektury zamówiłem drugą część, Litację, którą wydano w tym roku. Dlaczego zaskoczyłem? Bo zafascynowała mnie historia intelektualisty, który w koń-

cu musiał się zabrać za porządne reperowanie niszczącego umysłu. Osiatyński to nie tancerz retoryczny (jakim bez wątpienia jest Pilch), to nie ironista, który wspaniale (trzeba to przyznać), wygrywa pocziwe (bądź co bądź) dyskursy terapeutyczne, odwykowe, abstynenckie, to nie artysta (koniec końców), ale ktoś, kto rozumiał, że znalazł się w prawdziwych opałach i że musi się ratować przed nadciągającą zagładą. Krótko mówiąc, stawki Pilcha i Osiatyńskiego są zupełnie różne. Pierwszy walczy o mistrzostwo w świecie literatury, drugi o samego siebie, lepszego siebie, swoje właściwie miejsce w świecie. Ten pierwszy w gruncie rzeczy daje nam pyszną pochwałę życia nieprzytomnego, drugi afirmuje życie świadome i bardzo twórcze.

## II

Mamy zatem 2003 rok.

Raz jeszcze.

Wychodzi Rehab.

Główny bohater zjawia się na „Farmie” (to taka specyficzna „czarodziejska góra”), żeby zacząć trudną, irytującą, czasem niezrozumiałą, ale także szalenie ciekawą pracę nad sobą.

Podpisuje umowę, daje się zaprowadzić do pokoju, potem schodzi do saloniku, gdzie toczy się zupełnie inne życie. Niebawem wtopi się w nie całkiem sprawnie. Będzie chodził na wykłady, brał udział w terapii i medytacjach, czytał odpowiednie lektury, zapoznawał się z tradycją AA i, co niezmiernie istotne, prowadził dziennik, który okaże się szalenie ważnym medium do nadzorowania, poznawania, rewidowania i modelowania samego siebie. Wkrótce sobie uświadomi, że czeka go przebudowa całego systemu myślenia.

Rehab stanowi zapis tego przedsięwzięcia. Warto więc wymienić kilka jego istotniejszych etapów. Ważne zastrzeżenie: nie mam tu na myśli słynnego programu 12 kroków. Bo przecież nie chodzi tylko i wyłącznie o remanent umysłu

alkoholika, chodzi tu generalnie o nasze umysły, które zawsze wymagają mniejszych lub większych korekt. Chodzi tu o techniki autorefleksji po prostu. W związku z tym także i my, ludzie nie mający problemów z alkoholem, możemy skorzystać na lekturze tej antypijackiej opowieści.

## III

Na samym początku W. ma wątpliwości, które jednak wypływają z nazbyt dobrego samopoczucia. Od ostatniego zapicia minęło niemal pięć miesięcy. Być może zatem wcale nie jest alkoholiczkiem? Oto więc pierwsze wyzwanie, jakiemu musi sprostać: uwierzyć, że naprawdę ma problem, że jest słaby, że potrzebuje pomocy innych. Krótko mówiąc, alkoholik dla swojego dobra musi zakwestionować mit silnej woli. Pogodzić się z własną bezsilnością, zasmakować w niej – to punkt wyjścia, konieczny. Z tym wiąże się kolejna kwestia. W. to bardzo pewny siebie intelektualista, który bezustannie stara się zdominować innych, który uwielbia walczyć o rację, który pragnie wszystkich i wszystko kontrolować. To następny grzech. W. dowiaduje się bardzo szybko, że jego wgląd w samego siebie został zablokowany między innymi przez poczucie mocy i skłonność do intelektualizacji. Musi zatem poskromić apetyty swojego analitycznego umysłu. Musi zrezygnować z tego źródła przyjemności. I chyba mu się to udaje, do jakiegoś stopnia. Co więcej: „Z czasem W. zaczął nabierać dystansu do samego rozumienia”. Rozumienie przestaje być dla niego fetyszem. W. powoli docenia intuicję, wiarę, entuzjazm. Co jeszcze? Dzięki rozmowom z innymi, dzięki wnikliwym zapiskom uprzytamnia sobie, że od bardzo dawna czuje nieodparty pociąg do kłamstwa. Gadanie, podkoloryzowanie, konfabulowanie służy mu do kreowania swojego lepszego ja. Likwidując brawurowo granicę między prawdą a zmyśleniem, zagłusza swoje rozmaite strachy i lęki ukryte gdzieś w głębi świadomości. O alkoholizmie więc trzeba myśleć jak o chorobie myślenia i języka. I to jest chyba jeden z najciekawszych wątków. Obrazowe wykazanie, „jak +

zdradliwy i podstępny potrafi być własny umysł” (cytat z okładki). Oto umysł, czyli coś, wydawało-by się, najbardziej własnego, coś, co jest naszym centrum dowodzenia, ostatecznym arbitrem, istotą naszego jestestwa, jawi się jako mechanizm manipulujący – sam z siebie, samopas – naszym postrzeganiem rzeczywistości. Jako coś osobnego, obcego, wrogiego. Diabelskiego. Któregoś razu W. pomyślał, że „Być może alkoholicy tak sobie gmatwają obraz sytuacji różnymi wymysłami i wykrętami, że sami nie mogą zobaczyć tego, co dla innych jest oczywiste. I myślą też pokrętnie, by tylko nie zobaczyć prawdziwych siebie”. Pewnego wieczoru dopowiedział sobie jeszcze: „Rozumu używamy jednak również po to, by mieć dobre samopoczucie. Wymyślamy sobie teoryjki na uzasadnienie naszych pragnień, uczuć, czynków. Tu nie ma mechanizmu zwrotnego, stąd możliwe zakłamanie”. Umysł bywa więc sztukmistrzem, iluzjonistą. Podstępny przeciwnikiem. Dlatego bezustannie trzeba go monitorować, korygować, reperować. Koniecznie z drugą osobą, w życzliwej grupie, korzystając z dobrodziejstwa wnikliwej i szczerzej rozmowy. W. przypomniał sobie wówczas uwagę ojca. Pół biedy, że się zapijesz. „Najgorsze jest to, że sobie to wszystko logicznie wytłumaczysz i uzasadnisz”. Po latach W. pożałował, że nie skorzystał z mądrości ojca. Nic dziwnego. Lekcja była kapitalna. Jej zignorowanie okazało się oplatane w skutkach. Umysł to niebezpieczny żywioł. Więc jego sankcja nie jest ostateczna. W. zrozumiał to dopiero po 20 latach jego nadużywania.

#### IV

W końcu W. opuszcza „Farmę”, swoją „czarodziejską górę”. Z nadzieją, ale i wątpliwościami: „Wierzył, że za pomocą AA może mu się uda żyć bez alkoholu, który przyrównał do jadu, zatrującego jego samego, oraz do szponów i pazurów, którymi ranił innych. Ale czy uda mu się zmienić skórę, odrzucić pancierz, który chronił go przed światem? Czy będzie potrafił żyć bez władzy, kontroli i manipulacji?”.

#### V

W 2012 roku Osiatyński wydaje *Litację*, z której się dowiadujemy, co było dalej. Wymownym drogowskazem jest już sam spis treści: Dzień dwudziesty dziewiąty, Pierwszy dzień, Pierwszy tydzień, Pierwszy miesiąc, Pierwszy rok, Drugi rok, Piąty. Jak widzimy, tytuły rozdziałów sugerują, że życie trzeźwiejącego alkoholika to bezustanne odliczanie, żegnanie się z kolejnym dniem, witanie następnego.

Co więc było dalej? Permanentne czuwanie, niekończąca się praca, bo umysł nawet na chwilę nie może być pozostawiony samemu sobie. Egzystencja alkoholika to skrupulatny automonitoring trwający 24 godziny na dobę. Bycie sobą, bycie lepszą wersją samego siebie okazuje się wielkim mozołem wymagającym ciągłego skupienia. Bycie sobą to działanie, refleksja nad działaniem i częsta korekta obydwu tych czynności. Zresztą czytelników Rehaba nie powinno to już dziwić. Wszakże W., opuszczając „Farmę”, zawarł z nią „kontrakt poszpitalny”, w ramach którego zobowiązał się do codziennego chodzenia na mityngi AA, medytowania, czytania literatury AA, prowadzenia dziennika trzeźwości i tak dalej. Tak zaprojektowana przyszła egzystencja, tak ustrukturyzowana biografia staje się jedyną możliwą, ale i przy okazji nader ambitną strategią przetrwania.

*Litacja* stanowi opowieść o utrzymywaniu trzeźwości, ale i o przewyciężaniu w świecie zewnętrznym słabości, wad, nawyków, które W. zidentyfikował w warunkach, by tak rzec, laboratoryjnych, na „Farmie”, a które opisał w książce sprzed dziewięciu lat: „egoizm i egocentryzm, szukanie wymówek i wykrętów, nieuczciwość i kłamstwa, pycha, urazy, nietolerancja, niecierpliwość, zawiść, fałszywość i sztuczność, odkładanie spraw na później, litowanie się nad sobą, drażliwość oraz strach”. Być może warto tu zaakcentować złość, w którą W. bardzo często

wpada. To jedna z jego głównych i szczególnie denerwujących wad – na niemal każdy mniej przyjemny bodziec reaguje właśnie w ten sposób. Złosczenie się to właściwie jego „naturalny” sposób bycia. W. zdaje sobie z tego sprawę, dlatego wiele czasu poświęca na wyciszenie owej negatywnej skłonności. Fragmenty poświęcone temu problemowi są bardzo ciekawe. Oto przyglądamy się, jak człowiek dokładnie bada samego siebie i próbuje niczym rzeźbiarz poprawić sylwetkę swojej osobowości.

Spójrzmy.

„Po każdym kolejnym wybuchu złości W. miał poczucie klęski i nieskuteczności swojej pracy. Ale gdy w lipcu spojrzął na swoje zapiski, zobaczył, że złościł się rzadziej, mniej intensywnie i złość trwała krócej. Zresztą najlepszym sposobem radzenia sobie ze złością były właśnie wieczorne zapiski, w których potrafił zobaczyć sprawę we właściwych proporcjach. Co więcej, gdy przestał prowadzić dziennik złości, bardzo szybko jej przybywało. Tak jakby złość była odruchem, który pojawiał się niezależnie od W. i nad którym trzeba było nieustannie pracować”.

Kapitałna obserwacja: kiedy W. przestaje pisać o sobie, staje się gorszy.

W innym miejscu razem z terapeutą prowadzą „przesłuchanie” mające na celu ustalenie, dlaczego W. zareagował na drobne wydarzenie akurat złością, chociaż miał do dyspozycji całą gamę innych uczuć. W ten sposób sens wyprodukowania złości został zakwestionowany. Co więcej, okazało się, że można było zapanować nad nią i zachować się zupełnie inaczej.

A zatem nasuwa się ważny dla nas wniosek: tego rodzaju konwersacyjna analiza samego siebie, pisana analiza siebie jest lepszą wersją coachingu, lepszą, bo nie nastawioną na hedonistyczny sukces.

## VI

Wychodzenie z nałogu to także rewizja języka, za pomocą którego komunikujemy się z innymi, opisujemy siebie oraz świat zewnętrzny. W Litacji znajdziemy inspirujące sceny, w których W. uczy się inaczej operować słowami. W trakcie pewnego posiedzenia pojawia się suggestia, żeby słówka „bo” i „ponieważ” zastąpić słowem „kiedy” („gdyż one zwalniają go z odpowiedzialności za jego uczucia”), żeby zrezygnować z „dlaczego” („zamąca obraz uczuć”), żeby przekreślić „zawsze” i „nigdy” („petryfikują myślenie i odbierają nam wolność”). Na czarnej liście lądują też słowa „spróbuję” („albo coś robisz, albo nie; próbować więc to tyle, co kłamać”), „powinien” („stosowane w nadmiarze do samego siebie narzuca poczucie zobowiązania powoduje pośpiech i stres”). Wymiana słownika to wyostrenie samoświadomości. W konsekwencji alkoholik robi krok do przodu. Staje coraz lepszym zawiadowcą samego siebie.

## VII

Kiedy więc Juruś, bohater Pod Mocnym Aniołem, oznajmia efektownie, że nałóg schodzi z niego jak skóra z węża, nie wierzymy mu. Bo język jest ciągle ten sam, bo styl się nie zmienia. Bo nie notujemy w tej kapitalnej powieści żadnego „zwrotu retorycznego”. Inaczej jest w wypadku narratora Rehaba i Litacji. Tu rzeczywiście widać efekty pracy nad językiem. Tu też można zrozumieć, że ironia (której wirtuozem jest Pilch) bywa niebezpiecznym wirusem, uniemożliwiającym czasem nazywanie rzeczy po imieniu, szczerą refleksję nad samym sobą. Oto więc przepis Osiatyńskiego na tekst terapeutyczny. Żadnych retorycznych obejść, metafor, lingwistycznych sztuczek, metaforycznych płasów. Krótkie, klarowne, protokolarne zdania. Tak się wychodzi z nałogu. Bezceremonialnie.

## VIII

To wszystko? Nie.

Ta opowieść nigdy nie może się skończyć.

Nie można przestać być alkoholikiem. Drobny błąd może przekreślić wszystko.

Ale jest jeszcze coś. W ostatnich zdaniach pada nieoczekiwana konfesja: W. nie potrafi być radosny.

„Dopisał jedenaste przykazanie. Bądź radosny.

To ostatnie było najtrudniejsze. Owszem, W. był trzeźwy, umiał już radzić sobie na co dzień z emocjami, ale nie miał dawnego błysku ani radości. Czuł, że wszystko, co do tej pory robił, może nie wystarczać. Ale nie wiedział, czy jest na to jakaś rada. Zaczął jej szukać.

Trwało to dwadzieścia lat”.

Czekamy zatem na kolejną powieść.

Może będzie dobrze.

**Michał Larek**

# Nu, pagadi, Wolfgang

Bohdan Zadura  
**Zmartwychwstanie ptaszka (wiersze i sny)**  
Biuro Literackie  
Wrocław 2012

Nocne życie (2010), poprzedni tom Bohdana Zadury, było zbiorem bardziej jednorodnym, tak pod względem gatunkowym, jak i stylistycznym (choć tę drugą kwestię trzeba by rozwinąć w niuanse). Owszem, trafiła się dłuższa ballada oraz jeszcze obszerniejszy tytułowy cykl nocnych itinerariów, śnionych przynajmniej po części – ton książce nadawały przecież wiersze podejmujące tradycje krótkich form: miniatury poetyckiej, fraszki, aforyzmu. W tomiku zaś najnowszym już podtytuł okaże się rozróżnieniem rodzajowym: całą drugą część, owe „i sny”, zajmującą połowę książki, wypełniają zapisy prozą. Ich oniryczno-dziennikowy charakter jest nawiązaniem do wspomnianego cyklu Nocne życie w początkach kwietnia 2009 z tomu sprzed dwóch lat.

Ale i początek nowej książki wygląda na skrywany, niemniej mocny epicki gest. „lus primae noctis” (znowu noc!), cytuję całość: „geny poszły w lud”. Żart? Jak najbardziej, nie nazbyt zresztą poprawny politycznie (czego, rzecz jasna, autorowi nie zarzucam). Rozważanie dziejów społeczeństw? A dlaczegoż by nie: skoro zatem (w życiu społecznym) jest jak jest, to albo tamte (wysokie) geny poszły na marne, albo też niewiele warte były już na wyjściu... Tego rodzaju odczytania można przymierzać, można nimi grać, byle tylko z żartu nie zrobić jednoznacznie poważnej sentencji – istotniejsze sensy powstają jednak w innych miejscach (bo lektura buduje miejsca dla tekstu,